

RUMUNIA 2006

W przeddzień wyjazdu.

Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy ile motocykli i ile osób wybiera się z nami na podbój rumuńskiej ziemi. Pomysł wyjazdu zrodził się już w okolicach stycznia i ja z Jołą konsekwentnie wytrwaliśmy w swoim postanowieniu. Pozostała załoga zmieniała się z dnia na dzień: to ktoś dochodził, to ktoś odchodził i stanęło na tym, że dopiero w czwartek wieczorem znaleźmy pełny, stuprocentowy skład ekipy.

Zatem pojechali: Lewar AT, Ropuch-Owsik (wszędzie go było pełno) AT, Cement-Lentylek AT, Julka Cementowa, Włodar TA (człowiek Total Spontan- szybka decyzja o wyjeździe: przeczytał posta na forum i jazda!), Mio AT (ale tylko do Budapesztu) i my: Kajtek AT i Jola Kajtkowa.

Dzień pierwszy.

Zbiórka w piątek rozpoczynający weekend majowy w Sosnowcu. Planowany wyjazd z godziny 13tej przesuwa się na godzinę 15tą- czekamy na Włodara, który jedzie do nas z Poznania. Jeszcze dobrze z domu nie wyjechał a już musiał się tłumaczyć z przekroczenia prędkości polskim stróżom prawa (zamiast 50km/h miał 120km/h).

Bezlitośnie dajemy mu 5 min na odpoczynek, szybkie jedzonko- niestety ogórkowej dla biedaka brakło, i w drogę. Pędzimy do Cieszyna na spotkanie z Szymonem, który ma przygotowane dla nas naklejki z logo strony. Chwila wytchnienia i jazda. Słowacja okrutnie potraktowała nas ulewą, w strugach deszczu dojeżdżamy do Zohoru koło Bratysławy, gdzie gościć nas będzie przez jedna noc Cement.

W składzie komitetu powitalnego był nie tylko Cement, pojawili się wcześniej przez nas poznani Słowacy: Miro i Miszo oraz Julka, która do Bratysławy dotarła pociągiem. Ze

Słowakami wybieramy się na obowiązkowy smažený ser i mniej obowiązkowe piwo. Miło się rozmawia o "motorkach", "kokotach", "netoperkach" i innych tam a jutro długa droga przed nami. Żegnamy sąsiadów zza miedzy i w pościel.



Udana integracja polsko-słowacka

Dzień drugi.

Pobudka o 8.00, wyjazd godzinę później- niestety w deszczu. Zbieramy wszelkie możliwe jednorazówki, które zakładamy sobie na buty mocując taśmą klejącą Ropucha (niezwykle przydatna rzecz podczas wyjazdu- po oklejeniu butów przydaje się najpierw Lentylkowi, któremu prawie odpadła podeszwa, potem Włodarowi, któremu pękły spodnie w kroku, następnie Kajtkowi, który o krzaki rozdarł wdzianko przeciwdeszczowe, na koniec do sklejenia aparatu fotograficznego po glebie).

Tak przygotowani ruszamy "plądrować, gwałcić, rabować", ale ruszyć nie możemy, tzn. Ropuch nie może- jego padaka nie chce odpalić. Maszyna rusza na "popych". Później nie ma z nią problemów, ale Kijaneczka nie może skręcać w lewo, bo wtedy gaśnie - proponujemy mu powrót z wojaży po Rumuni do domu szerokim łukiem w prawo przez Bałkany, ale w końcu wraca z nami- maszyna go nie zawiodła. Węgry traktujemy tranzytowo w międzyczasie żegnając pod Budapesztem kolegę Mio.

Tuż przed granicą Lewar zalicza glebę: kontrolowany pokaz kaskaderki- hamowanie z piskiem, wjechanie w zad Włodarowi, lot długi (niestety niezakończony telemarkiem) głowa prawie pod koło ciężarówki i energiczne zebranie się po całej akcji... Straty: pęknięta owiewka i skrzywiona psycha. Około 16.00-17.00 wjeżdżamy na przejście graniczne węgiersko-rumuńskie w Nagylaku. Okazuje się, że Włodar z Cementem nie posiadają zielonej karty, ale posiadają gotówkę do "smarowania".

Tu poznajemy grupkę niemieckich motocyklistów, z którymi spotkamy się później na trasie, (za co serdecznie będą nam dziękować). Na granicy wymagają od nas jedynie okazania paszportów: zatem witaj Rumunio z dwoma nielegalnie wwiezionymi motocyklami! Szybciutko wymieniamy pieniążki, atakujemy spożywczy i szukamy miejsca do spania. Mijamy miasto Arad i łądujemy "gdzieś".

Rozbijamy namioty "na dziko" Wcześniej, żeby nie było nudno, Włodar przy zjeździe z drogi zalicza głębę, czego rezultatem jest wygięta klamka. Później ognisko, miejscowe piweczko, wieczorne rozmowy i w śpiworki.



Pierwsza noc w Rumuni

Dzień trzeci.

Noc była chłodna- nie sądziliśmy, że będzie aż tak chłodna, w związku z czym przed 8.00 jesteśmy już prawie spakowani i gotowi do drogi. Jest słonecznie, co wpływa na polepszenie już i tak świetnych nastrojów.

Przy wyjeździe z obozowiska Lentyl, który pozazdrościł wyczynów kaskaderskich Lewarowi, postanwiał w ciszy potrenować akrobacje motocyklowe (my już czekamy przy drodze). Wjeżdża w koleinę, wali salto a cały jego " freestyle" kończy się potłuczonymi nogami Julki i jego i zmianą barw odzieży z oryginalnego na "maskujący" (zielony). Atakujemy pierwsze miasta na naszej trasie: Deve a następnie Sebes.

Ładne miasteczka z niezliczoną liczbą kabli nad głową i z ciekawymi rozwiązaniami elektrycznymi.



Kable, przewody, kable....



Robota pierwsza klasa

W Sebes po zobaczeniu ryneczku, pakujemy się do knajpy delektować się miejscowym żarłkiem. Miejscowy "biznesmen" bierze się do roboty i koniecznie chce nam sprzedać szmaty (chyba z poprutych koszulek) do mycia jednoślądów. Wsłuchując się w miejscową muzykę, pałaszujemy z drewnianych misek tradycyjną mamałygę, owczy serek i jakieś mięso. Pycha! Dodatkowo niektórzy wcinają ichniejszą zupkę- flaki z dodatkiem papryki i cytryny...

Po obiedzie ruszamy do miasta Sibiu. Drogi w tej części kraju są bardzo dobre, świetnie się po nich sunie. Ale nasz spokój zakłócają wyprzedzający nas kierowcy- przejeżdżają zbyt blisko motocykli, co powoduje wrzenie krwi w naszych żyłach. Ludzie wszędzie nam machają, a na każdym postoju podchodzą z zapytaniem skąd jesteśmy i jak nam się podoba Rumunia. Podchodzą również dzieci, które widząc aparat chętnie pozują do zdjęć (najlepiej w zamian za Euro).



Rumunka



Rumunek

Po południu docieramy do Sibiu- bardzo ładne miasto z dwoma rynkami, będące dla Transylwanii tym, co dla nas Kraków.



Sibiu – rynek



Rowniez rynek w Brasovie

Tu poznajemy Damiana z Polski, który na widok naszych motorków wydaje okrzyk radości. Proponuje nam siebie jako przewodnika po okolicy, z czego niestety rezygnujemy z braku czasu. Ale pomaga nam wydostać się z miasta na właściwą drogę w kierunku Fagarashu. I tu zaczynają się piękne widoczki- przed nami wyrastają w całej okazałości ośnieżone Karpaty. Czad!

Przed Fgarashem wjeżdżamy na tzw. Szosę Transfogasaską. W przewodniku wyczytaliśmy, że jest ona czynna w okresie od 15.czerwca do 15.września, ale nie dając temu wiary pniemy się w górę- w końcu nasze duże enduraki mogą pokonać wszystko! Widoki oszałamiające! Jesteśmy na wysokości około 1700-1900 m n.p.m.



To nie fototapeta



Gory_Fogaraskie



Szosa transfogaraska

Niestety droga kończy się... Przed nami prawie 2 metry śniegu.



Śnieżna przeszkoda

To, co zobaczyliśmy i tak zrobiło na nas ogromne wrażenie. Niestety nie było nam dane zobaczyć wodospadu Balea Cascada czy jeziora Balea (2027 m n.p.m.), dlatego wiemy, że trzeba tam wrócić!

Zbliża się wieczór, jest "zimno, ciemno, do domu daleko", zaczynamy szukać miejsca na nocleg. Kwatery u podnóża gór wszystkie pozajmowane, zatem pozostaje namiot. Temperatura nas nieco odstrasza, ale "trzeba być twardym a nie miętym"! Rozbijamy się przy rzece- oczywiście "na dziko". Tu czwarta gleba- tzw. parkingowa w wykonaniu Ropucha. Poprawiamy krążenie myjąc się w owej rzeczce a później konsumując rozgrzewające trunki.

Do śpiworów ładujemy się prawie we wszystkich ciepłych rzeczach, jakie ze sobą mamy. Widać to nie wystarcza, bo Kajtek już o 5.00 jest na nogach i stara się wzniecić na nowo ogień w palenisku.

Dzień czwarty.

Poranek zaczynamy od wypicia kawki ugotowanej na wodzie z rzeczki. Zupka chińska na tejże wodzie smakuje wyśmienicie- nie tyle woda smaczna, co zupka ciepła...



Obozowisko u podnóża gór.jpg

Podobnie jak dnia poprzedniego o 8.00 jesteśmy już spakowani i w drogę. Mijamy niezliczoną liczbę rumuńskich wiosek. W jednej z nich naszą uwagę przyciągają ludzie w ludowych strojach. Kajtek widząc większe skupisko "kolorowych ludzi" skręca bez zapowiedzi z drogi, będąc przekonany, że trafi na miejscowy festyn. Pozostali uczestnicy wyprawy zdezorientowani czekają na nas przy drodze. Okazuje się, że wbiliśmy się na wiejskie targowisko.



Wiejskie okazy

Ludzie handlują tu wszystkim: butami, odzieżą, majtkami typu "reformy" i string, koźmi, świniami, które zamknięte w worku jutowym, przydeptanym butem kwiczą w niebogłosość. Mają tu również branze- owczy ser, którego kupujemy spory kawałek za równowartość 2zł.



Targowisko

Wracamy do ekipy, wszyscy konsumujemy ser, pozostali idą wczuć się w klimaty targowiska i ruszamy do Fagarashu. Tu zatrzymujemy się pod zamkiem, gdzie atakują nas rumuńskie sprzątaczkę, wdając się w dysputy z Lewarem.

Jedna z nich bardzo jest zainteresowana wartością jego Afriki, na co Lewar statecznie odpowiada: "Cztery Dacie".



Towary

Następny postój planujemy w Rosnovie. Lecimy tam sobie dziurawą wiejską drożyną. Widoczki cacy! Wjeżdżając do miasta nad głową wyrasta nam zamek chłopski. Szybki skok na zamek i jedziemy zobaczyć posiadłość Władka Drakuli w Branie. Wzdłuż drogi ciągną się Karpaty, od których ciężko oderwać wzrok.



Na trasie do zamku Władka



Zamek Drakuli

Dzień kończymy na zwiedzeniu Brasova- miasta z pięknym ryneczkiem i najwęższą uliczką w Europie.



Najwęższa uliczka Europy



Rynek w Brasovie

Tu odpoczywamy chwilę, Ropuch lata na bosy po rynku, Julka dotrzymuje towarzystwa sympatycznemu panu, którego pierwszym skojarzeniem z wyrazem Polska był Jaruzelski... , wystawiamy swoje białe ciała na promieniowanie słoneczne i obserwujemy ludzi fotografujących się przy naszych maszynach- Włodarowi gęba się śmieje, bo jego motocykl okupują młodziutki "lachony" a przy Afrikach ustawiają się dojrzałe partie.

Tu poznajemy kolejnych Polaków pracujących w Rumunii, a których już prawie włączyliśmy do konkursu fotograficznego. W dobrych nastrojach wyjeżdżamy z miasta. Kierujemy się na Sigisoarę. Trafiamy na około siedmio kilometrowy odcinek winkielków z pięknym asfaltem.

Zabawa na całego! Do zamknięcia opon niewiele brakuje. Zaczynamy szukać miejsca na nocleg. Tym razem szukamy czegoś pod dachem- potrzebny jest nam prąd do naładowania telefonów, aparatów foto i kamerki. Łazienką też nikt nie pogardzi. Zatrzymujemy się przy małym moteliku, gdzie usilnie namawiamy Lewara na nocleg- on poniżej czterech gwiazdek nie schodzi, ale dla nas robi wyjątek.

Na noc ustawiamy motocykle w gwiazdę, bo mamy tylko jedna linkę, którą spinamy razem przednie koła.



Jak ukradną to wszystkie 5 sztuk.

Szybka kąpiel, jeszcze szybsza konsumpcja polskiej gorzały i jedzonko w motelowej knajpie. Ze zmęczenia dostajemy głupawki - śmiejemy się ze wszystkiego. Jest fanie.

Dzień piąty.

Wypoczęci, wyspani, wymyjni ruszamy w dalszą podróż. Dzień zaczyna się podniesieniem adrenaliny- Włodar nie patrząc wyjeżdża z pobocza na drogę, pędzący kierowca dostawczego Iveco hamuje z piskiem, dym leci spod kół i na blokach prawie dopada wyluzowanego Włodara, który jedzie jakby się nic nie stało. My widząc całe zajście wznosimy modły do Boga, że Iveco nie zrobiło mu z tyłów "jesieni średniowiecza".

Dojeżdżamy do rodzinnego miasta Drakuli- Sighisoary. Dzielimy się na dwie grupki- jedna zwiedza, druga pilnuje sprzętów. W międzyczasie dojeżdżają do nas Helmuty, których poznaliśmy przy wjeździe do Rumuni. Zostawiają pod naszą opieką dwie beemki i jedną Afrykę. Miasteczko robi wrażenie- wieża zegarowa, dom Drakuli, 175 stopni starych schodów prowadzących do szkoły i kościoła na górze, skąd rozciąga się piękny widok na całe miasto.



Wieża zegarowa w Sighisoarze



Potomek Drakuli. Na koło nie umiał stawiać

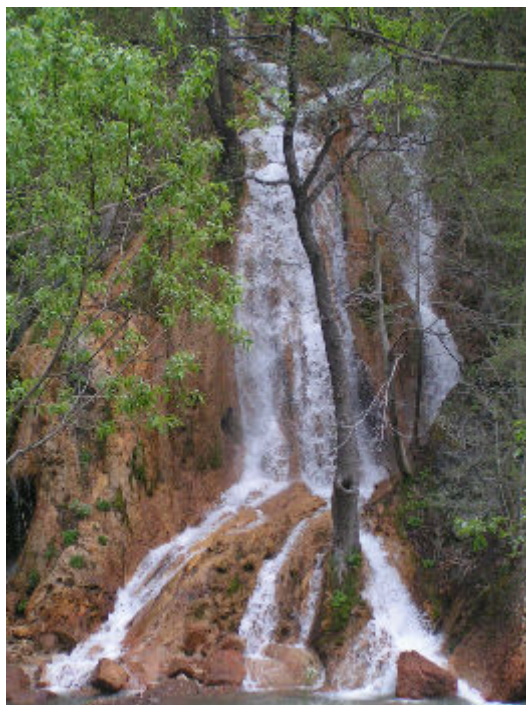


Coś w życiu trzeba robić

Komu w drogę, temu motor, najlepiej BMW R1150GS Adventure. Chłopaki zza Odry zostawili kluczyki w stacyjce, a my mamy zamiar ruszać- słońce niemiłosiernie grzeje, czas nas goni, ale czego się nie robi dla motonitów ? Na poszukiwania potomków Hitlera ruszają: Lewar, Kijaneczka, który miał zamiar zostawić mu swoją padake a w zamian wziąć GS-a i Włodar. Na szczęście szybko ich znajdują, ci walą pokłony do ziemi i możemy dalej podbijać rumuńska ziemię.

Z powodu braku czasu rezygnujemy z przejazdu przez miasteczko Targu Mures, dojeżdżamy do Turdy a tam wbijamy się na 200 km odcinek drogi w górach Apuseni,

biegnący wzdłuż koryta rzeki Aries. Widoczki, że hej! Droga żadna, miejscami składająca się z płyt, miejscami przechodząca w szutrowe odcinki, cała z głębokimi dziurami. Po przejeździe tą trasą Cementowi odkręcają się śrubki przytrzymujące szybę a Kajtkowi śrubka od klamki hamulca.



W górach Apuseni



Cerkiew w wiosce

Praca na polach rumuńskich wsi idzie pełną parą a ta para bynajmniej nie z ciągników ale wołów. Minęliśmy na drodze wiele takich zaprzęgów.



Średniowieczne klimaty

Zbliża się wieczór. W planie mamy zbliżyć się jak najbardziej do Oradei. Plan krzyżuje nam gumę w tylnim kole naszej Afryki. Złośliwi twierdzą, że to w zamian za brak gleby na koncie wyjazdu. Chłopaki zabierają się za demontaż koła. Przejeżdżający (oczywiście Daćką) Rumun widząc, że mamy problemy oferuje swoją pomoc. Wysyłamy Cementa za panem z Daci, który ma pokazać, gdzie w wiosce urzęduje wulkanizator. Miejscowe dzieci widząc dziwnego człeka w kominiarce i okularach krzyczą wskazując palcem na Lentylka: ET! Przyczyną kaptcia był 10 cm gwóźdź. Przekładka kaptcia rujnuje nasz wyjazdowy budżet: w przeliczeniu 8 zł.



Afryka bez jednej kończyny



Zamienie Kajtka na Julkę

Po 1,5 h możemy jechać dalej. Po ciemku znajdujemy miejsce na nocleg- tym razem w lesie. Ognisko, rumuńska surowa kiełbasa, rumuńskie piwo w plastiku i do spania. Tym razem do elementów piżamy dochodzi podpinka z kurtki motocyklowej, z uwagi na doświadczenia z poprzednich nocy. Nie marzniemy!



W piżamach

Dzień szósty.

Wczesnie wstajemy, bo chcemy dzisiaj zaliczyć Oradee, przelecieć przez Hungarię i zameldować się gdzieś na słowackiej ziemi. Mycie w rzeczce, szybkie śniadanko i w drogę.



Ostatnie dzikie obozowisko

Koło południa wita nas Oradea. Szybkie zwiedzanie, rozmowa z Rumunami, którzy wyliczają nam miejsca, których nie zobaczyliśmy (to następnym razem) i żegnaj Rumunio. Szybka przeprawa na granicy- Cement z Włodarem ucieszeni, że nie potrzebna im była zielona karta. Droga przez Węgry nudna jak flaki z olejem.

Jedziemy, jedziemy i jedziemy... Prawie na całej długości trasy remonty dróg. Na granicy węgiersko-słowackiej mamy żegnać się z Cementem i Julka, którzy w planie mają dojechać do Bratysławy, ale już na myśl o rozstaniu ogarnia ich tęsknota za nami w związku z czym, pędzą z nami w okolice Popradu na ostatni nocleg. Wieczorem jesteśmy tak zmęczeni, że nie mamy nawet sił na wypicie browara.

Podsumowując:

Uczestnicy- fajni ludzie z różnymi przypadłościami: Lewar- nic tylko chędożenie i gwałty mu w głowie, Włodar dość, że swoim lajtowym podejściem do życia podniósł nam ciśnienie krwi (Iveco), to do tej pory wpisowej flaszki nie postawił, Ropuch rekordzista w szybkości rozpalania ogniska i w "ruchaniu poduszeczki" (wg słownika bełchatowsko-polskiego, "naruchać poduszeczkę" znaczy tyle co- zorganizować, załatwić sobie lub komuś poduszkę), Cement- wyjazdowy poliglota, załamany faktem, że w Rumuni musi dogadywać się w światowym języku rumuńskim, Jola i Julka: dwie niewiasty, które nie musząc skupiać się na drodze, najbardziej nacieszyły swoje oko rumuńskimi klimatami. Rumunia: kraj z pięknymi górami, życzliwymi ludźmi, ładnymi miasteczkami i wszechobecnymi daciami.



Dacia z wozu koniom lżej



Security



Dacia karetką



Dacia eLka

Wszystkim wyruszającym do Rumuni polecamy spanie "na dziko". Można się rozbijać wszędzie, byle nie na polu uprawnym

Trasa: Arad, Deva, Sebes, Sibiu, Fagarash, Brasov, Sighisoara, Acatari Cracunesti, Turda, Baia de Arieș, Campeni, Stei, Oradea. W sumie zrobiliśmy od 2600 do 3200 km, w zależności kto z jakiego zakątka kraju wyruszył.

Koszty:

- paliwo tańsze niż u nas w kraju około 3,4-3,6zł za litr.
- noclegi: na dziko darmowe, w hotelach i kwaterach od 20-40zł
- jedzenie i trunki tańsze niż u nas.

Takie tam rumuńskie klimaty:



Wioski, te przy głównych drogach



Typowa wiejska architektura



I tak bywa



I tak bywa Interciti